

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galloyl: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPOŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.
Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
Adres Redakcyi. — Warszawa — Nowy-Swiat Nr. 4.

Od Redakcyi.

Do numeru dzisiejszego dołączamy prospekt nasz na rok 1889, z zapowiedzią prac jakie w tymże roku pomieszczać będziemy.

Wszystkich życzliwych prosimy o rozpowszechnienie prospektu tego w kołach swoich znajomych, nie wąpiąc, iż ze względu na wyjątkowo trudne warunki w jakich pismo nasze wychodzi i na stanowisko odrębne, jakie w prasie warszawskiej zajmuje,—proście naszej stanie się zadość.

Nadto wszystkich abonentów naszych prosimy o jak najwcześniejsze odnawianie prenumeraty—na rok przyszły.

Do dzisiejszego też numeru dołączają się koperty i listy zwrotne.

Przesady „trzeźwych“...

I hołdownicy tak zwanej „trzeźwości“ są... przesądni. Przykładów nie brak, a zpośród wielu, o których mówiliśmy już, albo mówić będziemy,—wybierzemy na teraz i szczególnie wyróżnimy jeden, najbardziej może... uderzający. Jest bo nim mianowicie znane powszechnie orzeczenie naszych „pozytywistów“, iż „wiara religijna jest stanem właściwym tylko nizko rozwiniętemu człowiekowi“.

Głoszą oni rzekomą tę prawdę, roztrąbiają ją na wszystkie strony świata, jako pewnik niezbity, jako niewzruszony postulat filozoficzny i dumni są przytem, jakby dokonali jakiegoś wielkiego odkrycia.

Tymczasem, orzeczenie to nie jest ani wielkiem, ani nawet nowem, tak jak zresztą nie jest nową i sama filozofia pozytywna. Brednia to stara jak świat, a powtarzali ją zawsze i powtarzają dzisiaj głównie niedorostki moralne, nie umiejący wnieść się duchem ponad poziom materji, — niedouczeni, pragnący imponować „tłumom“ pozorami wiedzy, — wreszcie karyerowicze, spekulujący na „obniżaniu ideałów“ i na upadku moralności publicznej — mącący źródło wierzeń i pojęć ogółu, gwoli ułatwienia sobie... materialnego poławu. Tak jest, głównie tacy tylko ludzie powtarzali zawsze i powtarzają dzisiaj tę brednię pozytywną, ale ludzie to mali, więc dziwić się im nie można.

Natomiast, dziwnem i niepojętem jest, że niedorzeczna brednia jakoby człowiek o wyższej inteligencji mógł obyć się bez wiary, znajduje zwolenników i wśród ludzi nie należących naprawdę do żadnej z wymienionych powyżej trzech kategorii. Tamci to falanga półgłówków, albo ludzi złych i przewrotnych — a ci? Jak nazwać tych ludzi? — chyba... przesądnymi.

Bo rozważmy, ażali nie jest przesądem twierdzenie, że kto ma Rozum ten może się obyć bez Wiary i być człowiekiem w ścisłym tego określenia znaczeniu, i odwrotnie, że wiara — potrzebą jest tym tylko, którzy mają „nizko rozwiniętą“ władzę rozumu.

Nie powołując się nawet na liczny zastęp ludzi słynących od wieków z nauki, na olbrzymów wiedzy i geniuszu, którzy „rozumu gromowładne czoła gięli przed Panem, jak burzę przed słońcem“ i przez swą wiarę właśnie zdobyli moc wydzwigania pokoleń z mroków moralnego upadku, — czyż samo życie obecne, życie powszednie, zwykłe, nie dowodzi jasno iż wiara jest przyrodzoną potrzebą wszystkich ludzi — niezbędnym warunkiem bytu społeczeństw, — kardynalną podstawą moralnego rozwoju jednostek i ludów?

Dowiedziona jest przecież rzeczą, że najpotężniejsze nawet narody w dniach swojej wielkości były religijnymi, oraz że każdemu ich upadkowi towarzyszył rozkład moralny, spowodowany przez odszczepieństwo. Nie uratował ich rozum, nie zatrzymały ich nad przepaścią jego „trzeźwe“ przestrogi.

Rozum bowiem to druh niewierny; sprzyja on w szczęściu, ale niechaj człowieka nawiedzi niedola, — uchodzi, szydząc z nieszczęśliwego. I biada temu, kogo wtedy nie przygarnie do siebie wiara! — biada tym co nie znają drogi do Nieba! — biada im bo zginą w piekle Rozpaczy!

Przy pomocy rozumu, można dojść do władzy nad milionami ludzi, można zgromadzić u siebie i dla siebie wszystkie ziemie bogactwa, — ale nie można zyskać ani odrobiny owego szczęścia, jakie — przy wierze — daje człowiekowi duch, świadomy siebie, swojego powołania i celu; — nie można osiągnąć ani zdźbła owego spokoju wewnętrznego, jaki jest udziałem ludzi wierzących — nawet w chwili zgonu.

A o ile kto „wyższe“ posiada wykształcenie umysłowe, o tyle też wysoko powinien mieć nastrojoną duszę, o tyle gruntowniejszą powinna być jego Wiara; bo ścieżki jakimi Rozum wodzi swych czcicieli, kręte są i, pomimo że pozornie proste, biegną w dół wśród urwisk, jarów, kotlin i parowów, choć kroczącym po nich zdaje się iż zdążają na — wyżyny.

Nie łatwiejszego jak zbłądzić w labiryncie rozumowych sprzeczności, jak utonąć w odmęcie przeciwieństw filozoficznych... Aby tedy nie zbłądzić na ścieżkach rozumu i nie utonąć w jego odmętach trzeba koniecznie mieć za przewodnika wiarę, bo ten tylko może być pewnym dojściem do celu, komu ona drogę oświeca.

Więc, czy rozum może komukolwiek zastąpić wiarę? Stanowczo, nie!

A nawet aby zarobić sobie na nazwę człowieka, aby nim być, nie dość jest przyswoić sobie pewną ilość wiadomości naukowych, nie dość jest zostać choćby nawet „filozofem

uczonym". Do zostania człowiekiem z ducha oraz do wytrwania na posterunku życia, jak również i do szczęśliwości osobistej i zbiorowej, potrzeba czegoś więcej. Potrzeba mianowicie wykształcenia duchowego, wrażliwości moralnej, a nade wszystko zdolności czucia i kochania, czyli tej cnoty najwyższej, której na imię: Miłość. A nauka, a rozum nie uczą kochać; ich rezultatem może być, większa lub mniejsza, wyrozumiałość na błędy cudze i własne, ale nigdy nie wykwitnie z nich kwiat miłości. Miłość tylko z wiary się rodzi...

Bez w i a r y można, w najlepszym razie, być człowiekiem „porządnym“, ale szlachetnym nigdy.

Człowiek t. z. rozumny może godzić się z przepisami prawa i obyczaju; człowiek zaś wierzący szanuje i prawa i obyczaje.

Według rozumu, czynić dobrze jest, jeśli nie „interesem“, to „zasługą“; według wiary, czyny dobre są obowiązkiem świętym.

A przytem, człowiek wierzący szczerze i bezwzględnie nie potrzebuje bynajmniej wysilać się na zniesienie najcięższych nawet brzemion losowych: jest on zawsze przygotowanym jednakowo jak na dobrą tak i na złą dolę: szczęście go nie zaślepia, zawód nie pogrąża w zwątpieniu. Człowiek wierzący cierpi bez szemrania, poświęca się bez zapłaty, pracuje wytrwale, używa w miarę, nie utracą równowagi moralnej ani w życiu, ani przy śmierci.

Tymczasem ludzie tylko „rozumni“ jakże często łamią się i padają pod naciskiem, nie rzadko urojonych, przeciwności,—jakże mało potrzeba im do utracenia władzy nad sobą! I nie może być inaczej, bo każdy z nich jest tylko — p ó ł -człowiekiem: posiada władze duchowe, ale ich zużytkować nie umie.

I wobec takich dowodów wyższości wiary nad rozumem, są ludzie którzy utrzymują, że „wiara religijna jest stanem właściwym tylko nisko rozwiniętemu człowiekowi“! Jakież to gruby, jakież ciasny p r z e s ą d!

Uczepiwszy się raz tej formułki „pozytywnej“, trzymają się jej z całej siły — dlaczego? Dlatego że nie wierzą w Boga, ale wierzą w swój rozum i w siebie; dlatego że są „trzeźwi“ i... jakoby „oświeceni“... a mimo to p r z e s ą d n i!

I niechby tam sobie ten i ów „trzeźwy pozytywista“ bredził od rzeczy, niechby wybijał pokłony przed fetyszami

pogańskiej filozofii pozytywnej, gdyby przez to nie działa się krzywda innym — równie jak oni „oświeconym“. Prostack przez wyzucie się z wiary popada w stan zwierzęcości, to prawda, lecz stokroć gorszem jest zwierzęciem człowiek tak zwany „inteligentny“, skoro rozpętają się w nim instynkta nieludzkie. A że przytoczony powyżej przesąd „pozytywny“ jest najbezpośredniejszym sprawcą wyzucia ludzi tak zwanych „inteligentnych“ z wszelkiej siły moralnej, że on to głównie zatruwa dusze tych ludzi jadem pychy, a później staje się przyczyną ich zguby, — tedy uważaliśmy sobie za obowiązek zwrócić nań bliższą uwagę i wyróżnić go, powtarzamy, szczególnie.

Że słowa nasze nie trafią do przekonania panom „pozytywistom“ z zawodu, to pewna; nie o nich też idzie nam w tej chwili. Oni w swych przesądach wytrwają dopóty, dopóki znajdować będą dość łatwowiernych nabywców na swoją tandetę pseudo-naukową... Nie o nich więc, powtarzamy, idzie nam w tej chwili, ale o osłabienie tej łatwowierności z jaką wielu przyjmuje za prawdę różne ich brednie i — przesady.

W. St. Orczyk.

Z pod szlacheckiej strzechy.

XLVIII.

Choć krótko, ale chciałbym koniecznie pogawędzić z Wami, — zwłaszcza że przyjemności tej nie miałem już dość dawno. Nie miałem jej aż wtedy, kiedy to wspomniałem o „wyscigach Pławieńskich“, a co widać szczęśliwą uczyniłem ręką. Jak bowiem widzę z „Roli“ protest mój nie był jedynym.

Wystąpili i inni, a choćby nawet wystąpienia te nie odniosły na razie praktycznego skutku, pozostaną one w każdym razie świadectwem, że w chwili gdy nad rolnictwem naszym zawisła ciężka chmura przesilenia ekonomicznego, nie wszyscy przecież mieli ochotę bawić się w rozmaicie przezywane s z o p k i i udawać że tej chmury nie widzą.

Wbrew twierdzeniu przesłanych szlachtożerców warszawskich są widocznie, wśród braci mych po pługu ludzie, którzy pojmując głębiej położenie rzeczy, pojmują i to także, że jeśli komu to nam upadającym pod ciężarem onego przesilenia, na które zresztą skarży się rolnictwo całej Europy, nie przystoją „zabawy“ i „rozrywki“: że koniecz-

nawet, że gorąco pragnąc, abys jak najmniej marnował czasu, który tak dobrze użyć można, na szukaniu żony — przygotowałam ci ją, wychowałam i wychuchałam prawie. W sąsiedztwie dorosłą panną jest Wanda X., z którą bawileś się dzieckiem będąc, a która łączy w sobie wszystkie przymioty, o jakich marzyć mogą — taki jak ty, młody człowiek i jego matka.

„Patrzyłem na nią, na jej wychowanie, jej cnoty i wady i nie widzę nigdzie lepszej, godniejszej ciebie żony. Uczucia się jednak nie nakazuje. Jeżeli ci się będzie podobała będę szczęśliwą, jeśli nie—zawód ten policzę między rozczarowania życia, — które są tak miłe, gdy je nakazuje miłość macierzyńska!

Wkrótce poznałem pannę Wandę X. Była to śliczna istota, w którą cudem jakimś, siłą swej miłości, matka moja, przelała swój urok serca, rozumu i duszy. Liczyła ośmnastą wiosnę, a była tak hożą, wesołą, naiwną i rozumną, piękną i świeżą, iż przypatrując się jej, zdawało mi się zawsze, że się przyglądam obrazowi mistrza.

W sześć miesięcy po powrocie do domu, byłem najszcześliwszym z ludzi, byłem bowiem zaręczony z najidealniejszą dziewczyną, którą codzień więcej kochałem uczuciem tem silniejszym, im dalsze ono było od wszelkiej namiętności zmysłowej. Cóż to było za szczęście nie ziemskie to moje życie wśród tych dwu kochających mnie kobiet! Cóż to było za szczęście niebiańskie słyszeć codzień z ust matki, zasefaną gorącą dziękczynną modliwą do Boga, że

KAPRYS HRABIANKI

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Dalszy ciąg.)

Zbigniew się ocucił, twarz odsłonił i zawołał:

— Słuchaj mój drogi, najlepszy przyjacielu!—opowiem ci!—Gdyśmy się po ukończeniu szkół rozłączyli w Krakowie, podążyłem, jak wiesz, do domu, gdzie na mnie czekała ta najdroższa matka, ta kobieta, jakiej drugiej nie było, jakie czasem, miasto aniołów, Bóg zsyła na ziemię. Oddała mi dziedzictwo pozostawione przez ojca, powiększone przez nią i rzekła: „Marzenie moje urzeczywistnione! daję ci wszystko, co Bóg pozwolił mi matce, dać ukochanemu synowi, bo piękną duszę, piękne ciało i piękną fortunę. Teraz do uwieńczenia mych marzeń jeszcze czegoś potrzeba. Chciałabym przed śmiercią mieć córkę i wnuka! Życie jest krótkim, a dla mężczyzny zaczyna się z chwilą, gdy je dzieli z kobietą godną siebie, gdy go do walki z życiem i szlachetnych czynów, zachęca para figlarnych, wyciągających się do niego od łona matki, rączek. Nie szukaj długo żony i nie żądaj od niej, aby ci co więcej w posagu przyniosła, prócz dobrego serca i kochanej twarzy. Zanedo cię kochałam, aby nieraz nie myśleć o tej, która ci kiedyś mnie zastąpi. Powiem ci

nem jest raczej poważne skupianie ducha, poważne chartowanie go w walce z trudnościami, obok wyrabiania w sobie siły obronnej przed żywiołem, który coraz liczniej wdziera się już i do dworów naszych w charakterze „nowych dziedziców” — starozakonnych.

„Kaniaka społeczna”, jakeście to trafnie w swej „Roli” porównał, potulna niegdyś, mizerna i pokorna, „kwitnie” już i „owocuje”.

A my?—a z nami co?

Czytałem przed kilkoma laty w jednej z korespondencji galicyjskich że olbrzymia już część posiadłości szlacheckich znajduje się w ręku dawnych pachciarzy, arendarzy młynów, szynkarzy i t. p.

Z nędznych izb szynkownianych poprzemieniło się to już do dworów; ba nawet do—pałaców!

Strach mnie przejmuje i zimny pot oblewa gdy się wkolo obejrzę, boć widzę że i u nas, metamorfoza taka,—taka przemiana pozycyji, postępuje z szybkością przerażającą; — a wobec tego każdy najdrobniejszy pozornie środek odporu i przeciwdziałania, nabiera w praktyce bardzo ogólnego znaczenia.

Obchodzić się o ile możności bez usług żydowskich—oto jedno z praktycznych przykazań dzisiejszego szlachcica ziemianina, które pod groźbą ujrzenia się wyrzuconym z gniazda ojców swoich, wykonywać powinien. Zbyt dobrze jednak, jako także wieśniak i hreczkosiej, znam stosunki iżbym orzeczenia takiego — gdyby je chciał ktoś brać bezwzględnie — nie uznawał, za... idyllę i dlatego — dodaję i powtarzam raz jeszcze: o ile możności. A są właśnie wypadki i okoliczności w których możność taka istnieje. Oto przykład:

Nawet w małych miasteczkach mamy setki faktorów. Z czego te setki żyją? Z oddawanych nam usług. A jakie mianowicie są te usługi? Ano takie właśnie że żywiąc pasorzyta — nam rolnikom nie przynoszą nic, oprócz szkody.

Mój sąsiad pan Onufry ma piękną dajmy na to, konieczną do siewu, a ja jej właśnie potrzebuję. Ale ani mój sąsiad, chociaż mieszkamy o półtorej mili od siebie, nie wie o mem „żądaniu”, ani ja też nie wiem o jego „podaży”. Czego my wszakże nie wiemy o tem wie faktor Jojna. Jedzie więc do mego sąsiada,—koniczynę kupuje i na kupnie zarabia stosunkowo grubo—kupując produkt niżej ceny rzeczywiście. Akurat bowiem trafił na chwilę w której pan Onufry potrzebował gwałtem pieniędzy. Przybył następnie Jojna do mnie, — koniczynę sprzedał, a że jej potrzebowałem także na gwałt, przeto usłużnemu pośrednikowi zapłaciłem cenę wyższą—od praktykowanej na targach. Tym sposobem Jojna bez wielkiego, a nawet bez wszelkiego trudu, „zarobił” na sąsiedzie moim i na mnie, czyli wyrażając się ściślej wyzyskał i mnie i mego sąsiada.

jej pozwolił urzeczywistnić wszystkie swoje marzenia! Cóż to za szczęście było, mieć przy sobie tę uroczą przybraną w ciało poezję, szczerbioczącą i wpatrującą mi się w oczy, z tym nadmiarem, wiary i uczucia!

Czasem zdawało mi się, że mi serce pęknie—pęknie ze szczęścia!

Zbigniew przestał mówić zasłonił twarz rękami i zdawało mi się, że posłyszałem jakby dławione gwałtem łkanie.

Po długiej i uroczystej przerwie, zaczął:

— „Ale w okolicy, o miedzę z nami graniczył dom hrabstwa Z. znany w szerokich kołach towarzyskich, a panna Jadwiga Z. przyjaźniła się z Wandzią. Dziwna to była kobieta, rozwinięta przedwcześnie, sprytna, dowcipna, i zalotna. Miała w całej swojej osobie, jakiś czar zatrważający, który ją czynił istotą niepospolitą i interesującą. Nieraz, pamiętam, spoglądałem na nią z zapytaniem w duszy, czy ta kobieta jest kobietą, czy ma serce i rozum, czy tylko ich fałszywy odbłask? Hrabianka promieniowała niezwykłym blaskiem kobiecym. *Une brillante apparition* powiedziałały francuz.

Byliśmy ze sobą bardzo dobrze; zajmował mnie jej niezwykły rozum pociągające jej głębokie spojrzenie, zachwycała jej majestatyczna postać. Zdawała się być stworzoną na królowę. Oczy jej wzbudzały jakby jakąś nieokreśloną trwogę i gdy spojrzała na mnie, szukałem wtedy z pospiechem spokojnych oczu Wandzi, by odzyskać przytomność i spokój duszy.

Obydwaj nakarmiliśmy pasorzyta kosztem własnej kieszeni.

Przykładów takich wszędzie pełno, bo stosunki nasze handlowo-rolnicze są wszędzie, mniej więcej jednakowe.

A jednak czy w takich mianowicie razach nie moglibyśmy się obchodzić bez usługi faktorstwa? Moglibyśmy, gdyby tylko istniał praktyczny środek porozumiewania, uświadamiania się, że tak powiem, odnośnie do wzajemnych potrzeb gospodarczych.

Niektóre z pism rolniczych, wprowadziły w celu tym rubrykę p. n.: „Kupno i sprzedaż” — gdzie jedni z rolników ogłaszają o tem co mają do zbycia, drudzy zaś o tem, czego potrzebują.

Dobre to, ale nie wystarczające, a oto inny jeszcze sposób — wyprobowanie którego nicby nas już zgola nie kosztowało.

W każdym z miasteczek istnieje już dzisiaj jeżeli nie więcej, to jeden przynajmniej sklep chrześcijański, a w każdym z takich sklepów mogłaby istnieć *Książka zapotrzebowani i zaofiarowań*, w której, przybývający do miasta obywatele, a zarazem klienci sklepu zapisywaliby: jedni to co mają do sprzedania z oznaczeniem od razu cen, a drudzy to, czego im w danej chwili potrzeba.

Zdaje się że to sposób i prosty i zgola jak rzekłem, nie kosztowny, a mogący jednakże, oszczędzić nam — jeżeli obejmujemy potrzeby gospodarze rolników w całym kraju — krocie rubli idących najniepotrzebniej na wykarmianie naszych... cnych „podskarbach narodu”.

Czyby więc, szanowni panowie i koledzy po pługu, nie należało o wprowadzenie tego środka postarać się, — nam wszystkim — a już tym przynajmniej, których położenie materialne nie pcha gwałtem w objęcia i opiekę — pasorzyta? Pomyślcie, z łaski swojej, nad tem.

Hreczkosiej.

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Prześladowanie żydowskie.

III.

Zydzi.

(Dalszy ciąg.)

Błędem katolików jest to, że swoje uczucia ludzi świątowych, ludzi dobrze urodzonych, gentelmanów, stawiają wyżej od ciężającej na nich odpowiedzialności za czuwanie

Mimo to miałem dla niej wiele uczucia, któreby się określić nie dało, ale które w każdym razie było sympatycznym. Wanda nieraz o nią była zazdrosną, lecz wnet rozwiewałem te podejrzenia kochającego serca, tłumacząc szczerze i łatwo przyjemność, jaką znajdowałem w błyskotliwym towarzystwie hrabianki Z. Wanda była poezją, sielanką! tamta postacią z dramatu czy tragedyi. Wanda, to był dzień majowy o ciszy w powietrzu, o zapachach w atmosferze, dzień cudny swą jasnością, orzeźwiający spokojem i świeżością. Jadwiga — to skwarne południe dnia lipcowego, zwiastującego straszliwą burzę, a przerażającego upałem i osłniewającym słońcem.

Byliśmy zaręczeni z Wandą, a działo się to w Czerwcu. Zostawiwszy narzeczoną, udaliśmy się do Warszawy—ja z najdroższą moją matką, dla dopełnienia różnych sprawunków potrzebnych do urządzenia gniazda dla mojej jaskółki.

Warszawa była wtedy taką, jaką jest dzisiaj, a może jeszcze wyglądała świetniej. Właśnie trafiliśmy na porę wyścigów i zielonego karnawału. Hrabstwo Z. bawili także w mieście i wydawali świetny bal na który dostałem zaproszenie bardzo gorące. Nie chciałem iść, zwłaszcza, że Wandzi nie było, że więc i narzeczonemu nie wypadało bawić się bez niej. Ale matka moja przełamała we mnie te skrupuły i zachęciła do pójścia na ów bal przez wzgląd, że państwo Z. byli sąsiadami, związanymi z naszym domem dawnym i przyjaznym stosunkiem.

(Dokończenie nastąpi).

nad biedakami, nad prostaczkami, nad naiwnymi, których podobne publikacje obalamucają.

— Wina wasza, wielka wina, — mówiłem do jednego z nich — że nie używacie wszelkich środków w celu zwalczania złego. Pomiędzy pięćdziesięciu tysiącami czytelników „Latarui“, dziesięć tysięcy, względnie bardzo uczciwych, ulegają wpływowi zadrukowanego papieru i są najmocniej przekonani, że zakonnicy w Solesmes samemi zbrodniami się trudnią. Ci, za najbliższym wybuchem rewolucji, poczytają sobie za dobry uczynek zastrzelić każdego zakonnika, jaki im wpadnie pod rękę.

Jestem najmocniej przekonany, że gdyby założono księgarnię a n t i ż y d o w s k ą, na podobieństwo księgarni a n t i k l e r y k a l n e j, w ciągu roku jednego zapobiegłoby się nie dyskusji, choćby gwałtownej, w kwestjach religijnych, dyskusji zupełnie prawowitej, ale obelgom i krzywdom księży, Siostr Miłosierdzia, obrządków religijnych.

Similia similibus. Żydzi lubią błoto, nie żałujcie im go, a zostawiaj was w spokoju.

Jakież to śmiechy podniosły się na ławach lewicy, gdy p. Lanjuinais począł się uskarżać z mównicy na ohydne ekspozycje „Muzeum republikańskiego“, które obwozi po miastach obrazy przedstawiające tortury, na których figurują zakonnicy. Czyż nie lepiej byłoby zrobić, gdyby był zebrał trochę funduszków i urządził wystawę z historią Rafaela Levyego, z męczeństwem O. Tomasza w Damaszku, albo z epizodami sprawy w Tisza Eszlar? Żydzi byłiby wyli ze złości, p. de Rotszyld byłby zęby wyszczerzył, Naquet i Dawid Raynal byłiby się rzucali, a Waldeck, który tak dowcipnie przedrwiwał pana Lanjuinais, byłby wstąpił na trybunę i oświadczył, że wszystko co jest godne szacunku, winno być szanowane i że zgodę między obywatelami uważał zawsze za najgodniejsze zazdrości dobro dla rządu szczerze republikańskiego.

Ma się rozumieć, że nie mam zamiaru poruszać wszystkich brudów dziennikarstwa żydowskiego, przypominając wszystkie obelgi, wszystkie potwarze, rzucone przez nie na chrześcian. Wszelki pozór jest dla nich dobry. Najpiękniejsza, najwznioślejsza ceremonia naszego obrządku, których sam widok, przez długie czasy, cieszył oczy starej Francji, wywołują dziś bluźnierstwa i grubijaństwa. Procesje, to — sztuki łamane, maskarady, księże komedye, farsy klerykalne!

Oto miłe postęпки ludzi, którzy, za czasów cesarstwa, jak to już opowiadałem, oburzali się, że nazwano żydem lichwiarza w pewnej sztuce średniowiecznej; ludzi którzy przed kilkoma laty sprawili, że na piętnaście dni więzienia skazany został pewien młodzieniec, który, oskubany przez żydów, w montpelierskiem piśmie „Furet“ wydrukował rytmowaną satyrę pod tytułem: „Żyd“.

I cóż wy na to? Patrzcie, jacy to oni drażliwi przed, a jacy zuchwali po tryumfie!

Przy tem wszystkiem, w osłupienie wprawia zupełny brak oryginalności.

Weźcie dzienniki żydowskie, a nie znajdziecie w nich ani jednej myśli nowej, ani jednej podłości nieznaney. To jest Talmud rynsztokowy, to bluźnierstwo żydowskie przetłumaczone na żargon. Świadczy to jeszcze raz o ubóstwie wyobraźni u żyda.

Dla prasy żydowskiej, podobnie jak dla Talmudu, kazanie jest „szczękaniami Nabua“, Krzyż „obrzydliwością Teba“, błogosławieństwo „przekleństwem Kelata“, etc., etc.

Do wszystkich tych form napaści dodać trzeba przesładowanie straszliwe, niewypowiedziane, wywierane na całą drabinę społeczną, od góry do dołu, od czasu jak ludzi uczciwych odsunięto od wszelkich urzędów.

Gdzie się zaczyna, gdzie kończy to przesładowanie? Któż to zdoła powiedzieć! Dzieje się ono codziennie, co chwilę; objawia się w tysiączny sposób, za pomocą niezliczonych agentów policji masonskiej i żydowskiej, nie zdających sobie nawet niekiedy sprawy z tego co czynią; denuncjuje, spotwarza, kłam, zastawia pułapki, urządza skandale, bezczęści tych, przeciwko którym nie może nagromadzić dość świadectw fałszywych, doprowadza jednych do utraty zmysłów, innych do samobójstwa; a gdy je kto chce pochwycić, wyslizga mu się z rąk, nie da się nigdy poznać z nazwiska.

Imię agenta tej strasznej roboty jest Legion; wyrósł on na zgniliznie warstw nowych, tak drogich Gambecie; przebiera on się najrozmaiciej, wszelakie przybiera postacie.

Gdy jaki pleban wiejski nie podoba się masoneryi, agent chodzi po karczmach i zbiera materiały do oskarżenia o zamach przeciw obyczajom, albo o zabójstwo, które prasa żydowska podejmuje się rozgłosić; jeżeli zaś przy tej

sposobności dostrzeże, że jakąś karczmę stojącą trochę na odludziu trzyma jakiś starzec, z denuncyanta politycznego staje się denuncyantem kryminalnym. A zahaczyć go trudno. Gdy go zdybią zaczajonego w kościele, albo zdejmującego odciski z zamków, powiada że jest na tropie okropnej zbrodni, spełnionej przez jakiegoś plebana, a sądy dzisiejsze zanadto są dobrze wytresowane, żeby miały przeszkadzać działaniu nieprzyjaciela klerykalizmu. W parę tygodni po tem, kościół zostaje okradziony, ale policya, która nie myślała o wykryciu złoczyńców, co złupili skarbiec bazyliki świętego Dyonizego, nie jest w ciemną bita, żeby miała szukać prawdziwego winowajcy. Zaczny agent nie poprzestaje zresztą na czuwaniu nad „występkami klerykalizmu“ po kościołach; wślizga się do koszar, zwiedza fortyfikacje, pod pozorem że się chce przekonać, czy tam nie zostawiono mieszkania dla jałmużników, i, na pamiątkę zapewne kulturkampfu, nie zaniedbuje niemcom komunikować swoich spostrzeżeń militarnych.

Choć go przyaresztują, pewien jest bezkarności. Cały ten świat trzyma się za ręce. Agent Tricoche i Cacolet ma wielkiego naczelnika, który jest prefektem policji. Opowiadają, że dawniejszymi czasy, o świecie, gdy lokaje po szulerniach i garsoni po lupanarach zaczynali zamiatać sale i wpuszczać nieco powietrza do tych jaskiń, w których wszędzie unosiły się wyziewy zepsucia, przychodził do Fouchého emisaryusz i przynosił mu rulon luidorów, stanowiący haracz rozpusty. Dziś Fouché nie jest sam jeden do brania; zarobkiem swoim musi on się dzielić z całą falangą zgłodniałych republikańców. On jest niby prezesem honorowym, to jest, chciałem powiedzieć — prezesem ogłoszono zakładem użyteczności publicznej; robi on wszystko co do niego należy: szpieguje plebanów, śledzi wszystko, coby ich mogło skompromitować; dostarcza wybornych rekomendacji dla takich komisjonerów jak bracia Bloch, którzy uciekli w r. 1883, okradłszy kupców paryzkich na 600,000 fr.; proteguje zbrodnię a przesładuje cnotę!

Czasami zachodzi nje porozumienie. Przez omyłkę ktoś zaczepi żonę deputata radykalnego; powstaje okrutny hałas. Pokazuje się, że na podobieństwo wolności sumienia Dreyfussa, honor republikański jest czemś odrębnym, jest rzadkością; wszyscy się nim zajmują, a dzienniki zachowawcze, które nie broniłyby swoich, podnoszą wrzask piekielny dookoła tego szacownego honoru. Zresztą niema w tem nic złego; błoto poruszone cuchnie mocniej, aniżeli gdy się je zostawi w spokoju; chemik społeczny może się czegoś nauczyć badając skład wyziewów zaraźliwych, jakie się z niego wydobywają.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OPOWIADANIE.

przez Autorkę „Opowiadań“.

(Dalszy ciąg.)

V.

Na wieży, w gmachu straży ogniowej, wywieszono znak trwogi, rozległ się przenikliwy głos dzwonu alarmowego, a miejscowy telefon rozniósł do cyrkulów wieść o pożarze w mieście.

Zarząły konie w stajniach strażackich, niecierpliwie grzebią kopytem, parszczą, rwą się z uździennic, a odczepione od żłobów, w podskoku, biegną bez kierownika, wprost do wozowni, gdzie rzędem stoją olbrzymie sikawki, pożarne szarabany, pogromcze maszyny do stłumienia sił żywiołu niszczącego — pożogi.

Już i strażactwo w pełnym rynsztunku: ten chwycił za toporek, tamten już trzyma bosak w garściach; podpięli kaski, ściągnęli koniom popręgi, zażegli kilka pochodni.

Już flankier dosiadł wierzchowca, przyłożył do ust sygnałową trąbkę, koń pod nim ruszył z kopyta, wyciągnął szyję, rozszerzył chrapy i pomknął naprzód z szybkością błyskawiczną. Flankier zakończył monotonną pobudkę; a teraz z wozu gra trąbka, przy akompaniamencie dzwonu. Do szarabanów wskoczyli topornicy z pochodniami, bosaczni czepiają się sikawek. Dzwon, trąbka, wołają: „z drogi!“ „z drogi!“ I warczą koła, i tętnią kopyta, i rośnie wrzawa, a karawana leci za flankierem, leci jakąś piekielną, systematyczną zawieruchą, między murami ulic warszawskich. Zdaje się, leca na oslepi; zdaje się, że to nie tabor odporny, lecz pochod napastniczy, niby tatarski zagon, po którego przejściu zostaną tylko zgliszcza i purpurowe strumienie z krwi ludzkiej.

Tłum ustępuje przed tą kohortą, przylega do ścian kamienic; stratować mogą przechodnia. A każdy pyta: „gdzie oni dążą? Ciekawszy zadziera głowę do góry i rozpatruje wkoło horyzont, z którego da się może odczytać cel owej nagłej wyprawy. Pobożny szepce: „od powietrza, głodu, ognia...“ A ludek warszawski goni za taborem — w powietrzu coś złowrogiego — niecnota węszy możność grabieży, ciekawość szukać chce wrażeń. W ulicy tartas, na chodniku ciżba.

I oto, na tle nocy, zamajaczył w dali nieprzyjacieli! — buchnął w górę kłębam dymu, strzelił ku niebu słupem ognistym, rozświetlił ciemny widnokrąg. I znowu zionie czarniawym kopeim, zasuwa jasność dymnym obłokiem, pokrywa iskry oponą z sadzy.

— Na Czerniakowskiej! — powtarza sobie flankier — zacisnął w garści trąbkę, a drugą ręką sięgnął za pasek, po topór.

Ot, Czerniakowska ulica! Flankier już dotarł do miejsca; osadził konia i mierzy śmiałem wejrzeniem moc wroga.

Nagle, coś go podrzuciło na siodle... Przed nim wróg straszny, rozkiełznany, wściekły, z zajadłą, upartą groźbą zniszczenia, — wróg nieubłagany, chciwy, dziki, ślepy, dyabelski... wróg mienia biednych ludzi i wróg jego osobisty, — jego, flankiera, strażaka, Antka Skowronka.

Ha! teraz dopiero Antek pocznie się zajadle borykać z tym wrogiem! Gromił on go już nieraz... ale teraz... teraz...

Niech jeno patrzy pan brandmajster, jak nim coś podrzuciło na koniu, jak go coś z konia zrzuciło, gdy spojrzał w okno drugiego piętra palącej się kamienicy!.. Niech pa trzy pan brandmajster, jak on nie będzie słuchał komendy, tylko się rzuci tam... którędy?... nie wie jeszcze — ale się rzuci, chociażby w rozpalone węgle, bo i on teraz stał się dzikim, ślepym, dyabelskim.

Wszakże to kamienica pani Marcinowej? A tam, na drugim piętrze, pod opieką właścicielki domu, przy boku wiernej przyjaciółki, przy boku Nastki, mieszka od śmierci pana Mateusza, jego Hanka. Tylko co widział jak trzy kobiety mignęły w oknie i znikły za tumanami dymu... znikła i jego Hanka.

Hej! kto tam żyw jeszcze za tem cknem, żyw być musi, albo też strażak Antek żyw nie będzie!

Tymczasem wróg buszuje od dołu; już oszańcował wkrąg przejścia, opasał płomienną wstęgą oficynę, a po niej wszedł już do frontowego domu; zajął izdebkę stróża, sunie ku schodom, liże ich poręcz i wstępuje w górę rzeką ognistą.

Antek położył na sobie znak Krzyża świętego, rozejrzał się po przejściach. Złe wschody! Wedrzeć się oknem? lecz tam, w sieni, płoną już schody. Patrzy na prawo, — tam również gore, — na lewo dym się piętrzy przez ujścia, od parteru.

Antek, przed wzięciem się do roboty, starym, chłopskim obyczajem, splunął na siłę w garście, jął za toporek i skoczył od lewej strony na wroga.

A pan brandmajster nawołuje:

— Zdjąć parkan!... kaski podpiąć!... zlewać bok lewy... dzieci, na parter, przez okna!...

Szturm przypuszczony: już trzeszczy parkan, rwą mur topory, brzękły szkła w oknach, zagrały pompy... wąż wodny stanął do harcu z ognistą żmiją... burczą sikawki, pół kopy rąk przy każdej.

Syknęła żmija w tem starciu z węzem... wydał się nowy wał dymów... Z otworów okien, na dole, leci grad sprzętów na ulicę. To straż ratuje, co się da uratować, wyrzuca meble i pościel z domu. Czarni od sadzy, potem oblani, pracują pilnie strażacy.

— Hej! gdzie Skowronek? — pyta brandmajster.

— Tam, na lewym cyplu, już przy dachówce!

— To dyabeł! — szepce brandmajster — bez drabiny, jak mucha, pełza po murze... żaden z nich tego nie potrafi...

A potem zawołał:

— Szykować płachty i blachy bezpieczeństwa! On tam nie darmo polazł... na drugim piętrze pewnie są ludzie... Rzućcie mu sznury!

I zadarł głowę do Antka.

— A co, Skowronku? — zakrzyknął.

— Złe, panie, — odpowiedział zacementowany u gżemu Antek. Oficyna pochodnia, wkołuśko ogień... Niech ci tam leją ciągiem na lewo!... zejść na piętro...

Chwycił za sznury rzucone i zniknął w otworze, który w dachu toporkiem przerwał.

Tymczasem pożoga, zmieniwszy w zgłiszcza skład desek przy oficynie, dogryzała już samą oficynę. Nastąpił akt tyralierski: płomień rozleciał się na wsze strony podwórca — i tu, i tam padały główne, a z nich rozdymał się płomycek, urastał szybko, pełzał do muru, tysiącno-jęczyną wargą

sięgał do futryn, a żarł je, trawiąc w tej samej chwili, bluzgając skrami i dymem za sobą.

Na dole i na pierwszym piętrze poczęło gorzeć wewnątrz.

Jęk srogi, rozdzierający, napelnił ulicę. Lokatorowie pani Marcinowej, w nagłości katastrofy, jak się porwali ze snu, tak biegli na dwór, unosząc życie od zguby. A tam, w płomiennej otchłani, ginęło teraz ich mienie — i ginął może ktoś drogi. Więc wrzaskiem i jękiem zwoływali się nieszczęśliwi, by sprawdzić, kogo brak tutaj.

Wszystkie oczy, patrząc w tę lunę, zachodziły łzami.

A dym się kłębi, i skaczą iskry, i coś zgrzytnęło od dołu, i w strasznym huku pękł mur na prawo... to od szynkwasu, ognistą strugą, pocięła wódka ze składu; sączy się, sączy, z małej szczeliny, lśni farbą błękitno-żółtą, wyłabia drogę, fala podpala, aż zakipiła, mur rozerwała, lunęła strugą na bruki. Tu już bosaki na nią czyhają... to podpalaczka, gorzałka... żywcem ją grzebią, żwir na nią sypią... a na ulicy zagasa.

Pan brandmajster obszedł dokoła twierdzę ognistą.

Budynek to sam w sobie, nie przytykający do żadnego domostwa: w lewo ogródek na tył się ciągnie; drzewa stanowiły poniekąd zapórę przeciw rozszerzaniu się pożogi; na prawo placyk, gdzie teraz dymno i skwarno. Trzy razy z frontu stawiano drabiny — i trzy razy cofać się musieli dzielni strażacy.

Z drugiego piętra ktoś wołał o ratunek, lecz wnet pod okno podbiegł tuman kopci, przesłonił nieszczęśliwych, — z oczu strażackich znikło widziadło, jak cień chiński.

(Dokończenie nastąpi.)

MOZAJKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

Powrót z włóczęgi. — Pustki w „salonach“ artystycznych. — Wystawa sztuki dekoracyjnej w Towarzystwie zachęty sztuk pięknych. — Słowo o Merwarcie i o „Pogrzebie Gedymina“. — Wystawa obrazów Styki u Krywulta. — Znaczenie takich wystaw. — Zapytanie mimochodem. — Słów kilka o Styce i jego obrazach. — Tryptyk Prószkowskiego. — Najmłodszy z salonów. — Jego charakter i dążności. — Przedstawienie Hamleta w Teatrze Wielkim. — Koziebrodzkiego „Reprezentant domu Miller i S-ka“. — Bliźnińskiego „Ciotka na wydaniu“. — Z horyzontu powieściowego: p. Rodziewiczówna. — „Pan Wołodyjowski“ Sienkiewicza.

Z letniej włóczęgi, która im tak potrzebna jak rybie woda, a przeciwnemu śmiertelnikowi powietrze, artyści powracali pod domowe strzechy, a raczej pod blaszane dachy swoich pracowni, ale jeszcze nie mieli czasu skorzystać ze swoich letnich studyów i zakląć ich w nowe utwory. To też po naszych „salonach“ artystycznych pusto jeszcze prawie, a jeżeli się co pojawi, to z prac dawniejszych, tylko szerszej publiczności nie znanych.

Salonu zachęty sztuk pięknych nie ożywiła wcale wystawa doroczna „sztuki ornamentacyjnej“. Stosy skorup, szeregi parawaników, wachlarzy i t. p. przedmiotów i przedmiocików, malowanych przez piękne zapewne uprawiaczki niwy sztuki stosowanej, powtarzające się do znudzenia, przesładujące nas zawzięcie na każdej wystawie (były zdaje się i na higienicznej), są w stanie nawet człowieka silnej konstytucji doprowadzić do rozpaczki. Pokazuje się, że przesadzają ci, co pomawiają pokolenia dzisiejsze o ogólne rozstrojenie nerwów, skoro na widok tych nieuniknionych okazów niewieściej artystycznej „industrii“, nikt jeszcze ataku nerwowego nie dostał.

A obok tych stereotypowych owoców „pracy kobiecej“, i okok kilku niezłych drzeworytów, znanych zresztą z pism illustrowanych, na pomienionej wystawie zwracało na siebie uwagę tylko cztery stoliczki inkrustowane kolorowym drzewem, wyrobu księcia Witolda Światopełka Czetwertyńskiego, odznaczające się rzeczywiście żywością barw, starannem odrobieniem, wielkim smakiem i oryginalnością zarówno rysunku inkrustacji jak kształtów samych sprzętów. Są to przedmioty bardzo ładne, których wyrobem zajmujący się może przyjemnie i przykładnie amator nie oglądający się na koszt, ale które zdaje się nie zniósłoby rachunku przemysłowego.

Bardzo wdzięcznie prezentowała się też szafka na zegar, w stylu rokoko, rzeźbiona przez p. Wincentego Bogaczyka; to też słusznie powyższe stoliczki i niniejsza szafka obdarzone zostały pierwszą i drugą nagrodą. Zresztą nie było co bardzo nagradzać, choć zdaje się było nagród więcej.

Z obejrzenia sal wystawy Towarzystwa, przy sposobności oglądania ekspozycji dekoracyjnej, przykre wynie-

śliśmy wrażenie, które na nas wywarł widok dwóch płócien Merwarta, nie ziszczających nadziei, jakie w nas obudził twórca znanej z przed kilku lat sceny z potopu. Między tą sceną a „Bachantką“, a raczej studjum kobiety nagiej, rozciągniętej na skórze lamparciej i bezmyślnie uśmiechającej się do winogrona, niema nic wspólnego, oprócz chyba modelu. Z jednego i tego samego malował zdaje się artysta oba obrazy, ale jakże rozmaicie z niego skorzystał! Podczas gdy z tamtej, utopionej, bije ponętny wdzięk i jakby resztki niewystygłego jeszcze po świeżo zgaszonym młodem życiu ciepła, od tej żywej wieje chłód i sztywność, których nie łągą ani zimny kolorysty ani nie zupełnie poprawny rysunek. Gorzej jeszcze prezentuje się „Strzelec gimnastyk“, w którego przysłaniu na wystawę trudno domyślić się celu. Jest to niemiernie, popielato malowany portret jakiegoś francuza w całej postaci, w wielkości naturalnej, w stroju gimnasty z karabinem w ręce.

Wisi też tu jeszcze „Pogrzeb Gedymina“ Alchimowicza, niekupiony dotąd z powodu swoich rozmiarów. Był na niego amator, ale przekonał się, że w mieszkaniu swoim na wsi nie miałby go gdzie umieścić i kupno nie przyszło do skutku. Panowie artyści, nie malujcie dużych obrazów!

U Krywulta mamy wystawę obrazów Jana Styki. Te zbiorowe wystawy utworów jednego artysty wchodzi od niejakiemu czasu w modę, która nie jest pozbawiona racji bytu. Publiczność i krytyka zapoznają się odrzuca bliżej z artystą, widzą kto on zacy i co może, na co nie zawsze starczy widok jednego utworu, który mógł się artyście szczególnie udać albo szczególnie nie udać, — bo i to bywa. Tutaj artysta staje śmiało i z otwartą przyłbicą naprzeciw znawców i.. nieznanców, i mówi: „Jak mnie widzisz, tak mnie pisz!“ Jest w tem z jednej strony pewność siebie, z drugiej szczerość, w każdym stosunku pożądana.

W salonie Krywulta widzieliśmy już kilka tego rodzaju wystaw, — i tutaj mimowoli ciśnie się na pióro pytanie, dlaczego np. ani Wiesiołowski, ani Fałat, ani Styka, nie oddali galerij prac swoich pod opiekę „Towarzystwa zachęty sztuk pięknych“, które z natury swojej i z urzędu winno być orędownikiem wszelkich imprez artystycznych, ale wołało porozumieć się z Krywultem?... Nie wysnuwamy ztąd, przynajmniej tym razem, żadnych broń Boże zarzutów, ale zwracamy uwagę samego Towarzystwa na tę widoczną do niego nieufność, której powody należałoby zbadać i o ile możliwości usunąć.

Otóż p. Styka wystawił u Krywulta dwadzieścia z górą swoich płócien. Z ich przeglądu przedewszystkiem odnosimy to wrażenie, że artysta, który o ile się z pierwszych prac jego zdawało, kroił na malarza religijnego, obecnie rozproszył się na najrozmaitsze kierunki, między którymi religijny najslabiej jest reprezentowany, bo w dwóch szkicach: „Droga krzyżowa“ i „Pocieszycielka strapionych“ i w dwóch głowach: Madonny, brzydkiej, i bardzo ładnej Chrystusa. Zresztą mamy tu obrazy jakoby historyczne, rodzajowe, krajobrazy, portrety, studia koni i t. p. Wszystko to, powiedzmy odrzuca, rysowane nie zawsze poprawnie a malowane szaro, która to szarość w obrazach staranniej wykończonych, jak np. w „Huldzie prorokini“ aż w czarność niemal przechodzi. Mówimy „staranniej wykończonych“, większa bowiem część płócien p. Styki wygląda na podmalowania, na których domalowanie zabrakło farb na palecie artysty. Na tej paletce niema też ani iskiarki słońca, tak koniecznie malarzowi potrzebnej; najlepszy tego dowód mamy na obrazku rodzajowym, który, lubo zatytułowany: „W pełnym słońcu“, jest zimny i żółto-szary, nie mówiąc już o tem że okrutnie banalny.

Nam najbardziej ze wszystkich podobało się „Spotkanie“. Treść jego dość oklepana, ale nasuwająca się pod pędzel każdego artysty, traktującego czary rzymskie: jest to spotkanie pogaństwa z chrześcijaństwem. Prawą stronę obrazu postępuje w głąb pogrzeb chrześcijański: lewą, z głębi, wracają po nocnej orgii pijani patrycyusze, niosący w otwartej lektyce nagą heterę. Antyteza to zawsze zniewalająca do poważnych myśli. Lewa strona obrazu ma od powiednio poważny charakter, a piękna jest postać odwróconego twarzą do widzów chrześcijanina; głowa to pełna myśli i wyrazu. Mniej szczęśliwa, choć starannie traktowana, jest strona prawa. Mgła ranna jeszcze nie ze wszystkim rozwiana, sprzyja i niedomalowaniu i właściwemu artyście kolorystowi, dając im pewne racje bytu. Portrety widać że podobne; portret Jana Reszki, w całej postawie, w rycerskim kostiumie Cyda, byłby nawet bardzo dobry, gdyby mu dodać trochę światła i krwi cieplej.

Wogóle artysta to nie bez talentu, tylko że talent ten podobny jest do pewnego rodzaju głosów, nad których wyrobieniem śpiewacy długo i usilnie pracować muszą. P. Sty-

ka zdaje się być pracowitym, starym nie jest, więc może z czasem poprawić się z błędów rysunku i malowania i koloryt swój rozjaśnić, wyczyścić; jeżeli naturalnie przyczyna nie leży w wadzie wzroku.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NA POSTERUNKU.

Znowu chwila poważna — i znowu pieśń przednoworoczna. — Jednogodny chór — i dyssonans w prospekcie „Roli“. — Niezgodność z prądem chwili obecnej. — Najwygodniejsza taktyka i najbezpieczniejsza pozycja w czasach powszechnego — oportunizmu. — Jedność z judaizmem i drugi dyssonans. — Trzy sentencje stereotypowe. — Polemika z jednym z szanownych czytelników. — Jego atak i moje objaśnienie. — Co wolno wszystkim, a czego nie wolno tylko jednej „Roli“. — Długie odezwy i krótkie komentarze.

Nastaje tedy znowu chwila brzemienna w następstwa, nietylko może dla losów Europy, ile raczej dla... naszej prasy warszawskiej. Chwila to przednoworoczna, a więc poważna i uroczysta.

Poważna — albowiem panowie wydawcy poważnie i w skupieniu ducha rozmyślają nad zapowiedziami, premiami i wszelkiego rodzaju niespodziankami na rok przyszedł; — uroczysta, gdyż stanowi ona doroczny akt uroczystego wynurzenia najgorętszych afektów tychże panów wydawców — względem społeczeństwa.

Niema pisma któreby, o tej mianowicie porze, nie było gotowe do poświęceń i ofiar, na korzyść jedynie dobra ogólnego. Nawet organa ultra-postępowe uśmiechają się mile do maltretowanych przez rok cały różnych „starych przesądów“, zachowawcze „szanują postęp“, a takie znowu które stale i, jawnie albo skrycie, popierają także jak rok długi, interesa żydowskie, zapewniają teraz solennie, że „pragną służyć, wedle sił i możliwości, interesom całego społeczeństwa“.

Do tego więc chóru chciałem i ja przyłączyć swój skromny głos, chciałem i ja zawołać: „unikając wszelkiej krańcowości, szanować będziemy i postęp (specjalnie warszawski) i tradycję“ i... dogadzać wszystkim, gdy tymczasem redakcja Roli popsuła mi całkowicie szyki. Zbiła mnie z tropu swym — prospektem. Zamiast dostroić się do ogólnej pieśni przednoworocznej i zapewnić także, jako chce „służyć wszystkim“ i pracować, poświęcać się dla wszystkich — „Rola“ wprowadza do pieśni tej... dyssonans. „W obronie — powiada — naszych zasad i raz wytkniętego programu, walki się nie zrzekamy i nie zaprzestaniemy. Nie pójdziemy w tym razie śladem wielu pism naszych, które, wywieszając sztandar zachowawczy, — „dla miłego spokoju“ — nie chcą go bronić“.

Ależ to dziwactwo, nie zgodne wcale a wcale z prądem chwili obecnej. Bo czyż nie wygodniej i bezpieczniej jest stokroć, w tym czasie powszechnego oportunizmu, powiedzieć sobie, dajmy na to, tak: wywieszam sztandar, gdyż dla zjednienia sobie względów łaskawej publiczności, wywiesić coś należy; ale niechaj tam sobie sztandar będzie sztandarem, a interes musi być — interesem? Alboż nie wygodniej jest omijać przeciwników mego sztandaru, mych przekonania, aniżeli stawać z nimi do otwartej walki i narażać się na to, że lada nędznik i najmita obrzuci błotem moje czyste imię? Czyż nie wygodniej jest uśmiechem, ukłonem i omijaniem wszelakich „drażliwości“ jednać sobie przyjaciel, aniżeli nazywaniem wszystkiego *po imieniu* mnożyć wkoło wrogów? — Czyż nie wygodniej być, słowem, odbiorcą rubli zachowawców, aniżeli rzecznikiem i obrońcą ich zasad?

„Jesteśmy i zostaniemy — mówi znowu prospekt — stanowczymi przeciwnikami hydry b e z w y z n a n i o w o ś c i, która podawszy dłoń judaizmowi, działa z nim wspólnie na zgubę społeczności naszej“.

Ależ nie „na zgubę“! Jedność wszelaka z judaizmem, to właśnie most do najbardziej błogiego stanu szczęśliwości społecznej. Tak przecież twierdzą i dowodzą najrozmaitszych barw „publicyści warszawscy“, a idea tej jedności asymilacyjnej, przy pomocy której... Polak ma się stać żydem — ach, cóż znowu, przepraszam! — żyd ma się zrobić Polakiem, — wsiąkła już w krew większości naszego dziennikarstwa. Toż widzimy, że nawet pisma „zachowawcze“ (!), podając z okazji „Zaduszek“ naszych, wizerunki grobów ludzi wybitniejszych, stawiają w pierwszym rzędzie groby czy tam pomniki wzniesione na cmentarzach — starozakonnych.

I nie jest to „hańbą“ — jak wołają najserdeczniejsi przyjaciele „Roli“ — że istnieje pismo, które nietylko nie uznaje tych pragnień asymilacyjnych, lecz zowie je publicznie

Z CAŁEGO ŚWIATA.

(o zgrozoli) ostatnim już wyrazem nieszczęśliwego ogłupienia, ostatnim, najboleśniejszym znakiem zaniku godności narodowej i ciężkim sromem spadającym na społeczność polską?

Niestety!—cóż jednakże poradzić, mówiąc już językiem „Izraelity“, z „Hamanami“ z „Roli“, skoro na nich, jak to również szacowny organ ten stwierdził, nic już i żadnego nie wywiera wpływu? Istotnie, ani marzyć mogę, iżby spokojne perswazyje moje zdołały odnieść jakikolwiek skutek, jeżeli stałe, sześćdziesiąt i z największą systematycznością prowadzone przesładowanie „Roli“ przez *szlachetnych* jej antagony nie przydało się na nic? Zrobili oni chyba już wszystko, co jeno zrobić mogli, nie pomijając nawet wyszukiwania sobie bohaterów do posług „równie *szlachetnych*, jak *szlachetną*“ bywa wszelka *ich* broń, a jednak główny „Haman“ z „Roli“ na wszystko to razem, odpowiada—stereotypowo: „naszym o b o w i ą z k i e m j e s t :

wiedzieć i wierzyć że służymy dobrej i poczciwej sprawie; słuchać głosu własnych, gorąco ukochanych przekonani i własnego sumienia;

stać wyżej — ponad wszelką głupotę i podłość, gdyż wcześniej lub później pierwsza się opamięta, a druga się — strawi“.

Ha... więc niechże tak będzie, a tymczasem chciałbym przeprowadzić bodaj króciuchną polemikę z jednym z szanownych czytelników naszych.

Leży właśnie przedemną list dość obszerny, zapisany słowem żywym, gorącym, a w liście tym czytam między innymi:

...„Albo wy, panowie z R o l i, nie dość szczerze i gorąco pragniecie rozpowszechnienia swoich zadań, albo też przeceniacie swe siły, kierując się zbytnią a grzeszną, w takich zwłaszcza razach, za rozumiałością.“

Ze zdumieniem pytam już w myśli, co ma znaczyć ten atak, aż oto czytam znowu:

„Bo jeżeli, o czym zresztą dobrze nam tu wiadomo, istnieje przeciw „Roli“ agitacja tak wroga i zawzięta, jakiej dotąd nie było, jeżeli agitację tę prowadzi i rozwija z planem—falanga zbita i zsolidaryzowana, to dlaczego nie wezwiecie w s z y s t k i c h W a m życzliwych i przyjaciół waszego pisma do również zsolidaryzowanego przeciwdziałania onemu *herimowi*. Dlaczego nie wezwiecie ich, aby każdy abonent, podzielaający przekonania „Roli“, uważał sobie za obowiązek — nie tylko względem Was, ale i względem *własnych* z a s a d — pomyśleć o nowym abonencie; ażeby *ludzie* mniej zamożni, w tych zwłaszcza ciężkich czasach, abonowali w dwóch, trzech, albo w czterech i pięciu, jeden choćby egzemplarz, a już najmniej zamożni otrzymywali „Rolę“, od swych znajomych zamożniejszych — do czytania, *be z p ł a t n i e ?*“

Ach!—szanowny panie!—nie uczyniliśmy tego, bo nam w tym sensie do czytelników odzywać się nie wolno. Wolno pismom innym nie tylko zachęcać do „jednania nowych abonentów“, ale nawet wysyłać na prowincję do takiegoż „jednania“ umysłnych *d e l e g a t ó w*; wolno im, wolno i tym i owym, tylko „Roli“ — nie! Byłoby to bowiem z jej strony (nieprawdaż *szlachetni* przeciwnicy?) „bezwstydną spekulacją“.

Ręczę zresztą, szanowny a życzliwy nam panie, że i to co „Rola“ w swym prospekcie o rozszerzeniu koła czytelników powiada, a co „nie jest zebraniem łask ani ofiar żadnych, ale szczerem i otwartem odwołaniem się do *ludzi* jednakiej z nami *wyśli*, o poparcie pisma, będącego wyrazem ich opinii i ich moralną współwłasnością“;—że to nawet, mówię,—będzie nazwanem nie inaczej, jeno... „spekulacją“.

Tak, szanowny panie! — albowiem, jak to już miałem sposobność zauważyć w poprzedniej mej kronice, dzisiejsza tak zwana „opinia Warszawy“, czyli właściwie opinia różnych klik dziennikarskich i po za dziennikarskich jest prawdziwą gonitwą, w której uciekający złodziej woła na cały głos: trzymaj, łapaj złodzieja!

I ani się spostrzegłem, jak całą pogawędkę dzisiejszą poświęciłem pisaniu *pro domo sua*. Ze względu na poważną, jak rzekłem, chwilę przednoworoczną, wybaczenie mi czytelnicy ten grzech. Bo jeżeli zresztą w chwili tej, wolno jest różnym panom wydawcom starozakonnym wydawać o wiele dłuższe, o wiele gorętsze odezwy do narodu, i wystawiać w nich „obywateckie poświęcenia swoje“, — to dlaczegoż mnie miałyby nie być wolno dopisać kilku jedynie komentarzy do zapowiedzi na rok 1889, a *siódmy* („o hańbo dla społeczeństwa!“ — słyszę w tej chwili głos „Izraelity“ i innych... „postępowców“) — jej istnienia?

Kamienny.

Nowa śmierć świata przy pomocy elektryczności.— Jeszcze ciągle „Kuba rozprówa“.— Wspomnienia z przeszłości i bezradność dzisiejsza.— Na co się naraża społeczeństwo nie dając członkom swoim dostatecznej opieki? — Duszna atmosfera cywilizacji dzisiejszej. — Pani Villeron. — Nowroza wśród ludu izraelskiego.— Myśl potrącona— Pan baron Hirsch i Galicya.— Niespodziany obrót procesu Numy Gillyego. — Komisya budżetowa, a pośrednio izba deputowanych przełknęła spokojnie straszliwy policzek. — Manifestacja zapowiedziana na dzień 2 Grudnia. — Wieść o zamiarze rządu dokonania w tym dniu zamachu stanu. — Wieści przeciwnie. — Przewrót za pasem.— Mowa tronowa niemiecka i niemiecka ministeryalna gazeta „Post“.

No, już tym razem przynajmniej nie będziemy się męczyli długo. Trask!.. i już po nas. Tak nas przynajmniej pociesza niejaki p. Divine, amerykańkanin — znowu amerykańkanin!—który twierdzi, że w r. 1920 dwie różnoimienne elektryczności zetkną się w środku ziemi i rozsadzą ją na drobne kawałeczki. Szczęście, że to jeszcze 32 lata do tego terminu, więc nie jeden z nas będzie jeszcze miał czas spokojnie przenieść się do innego świata.

W każdym razie ciekawa rzecz, czego się też wprzód doczekamy: końca świata, czy wykrycia sprawcy okropnych mordów w Londynie. Pewne okoliczności przemawiają za pierwszą alternatywą; amerykańkanin zdaje się być urodzonym prorokiem, gdyż nazwisko jego wywodzi się wyraźnie od wieszczbiarstwa, od wróżenia; tymczasem za odszukaniem „Kuby rozprówa“ (*Jacques eventreur*) nic a nic nie przemawia. Nie pomogła nic dymisya dyrektora londyńskiej policji, p. Warrena, nie pomogły zeznania jakiegoś robotnika, który widział w nocy jakiegoś jegomości spacerującego z ostatnią ofiarą tajemniczego mordercy. Opisał on jego wzrost, postawę, ubiór, nawet cerę śniadą i ciemne faworyty, ale rysów twarzy dobrze opisać nie mógł, gdyż zakrywał je w znacznej części, mocno na oczy nasunięty, kapeluszał kalabryjski.

Wskazówki te do niczego nie doprowadziły, gdyż ostatnia zbrodnia spełniona została w nocy z 8 na 9 b. m., a dotąd sprawcy jej nie ujęto. Nic dziwnego; rysopis był niedokładny, tem bardziej, że taki szczywany lis miał zapewne cerę sztuczną i faworyty przyprawne, i nazajutrz był już może białym jak kobieta blondynem.

Londyn drży ze strachu i zapuszcza się w najrozmaitsze kombinacje, przypuszczenia i domysły. Przypominano sobie strasznej pamięci Burkego, który na początku tego wieku dostarczał trupów d-rowsi Knoxowi i doświadczeniem przyszedł do przekonania, że łatwiej jest samemu przygotować nieboszczyków, aniżeli starać się o gotowych. Ale ani działalność tego zbrodniarza-przemysłowca, ani przykłady innych najwymyślniejszych zbrodni, o które w Londynie nie trudno, nie dadzą się zastosować do bieżących wypadków i nic z nich w celu wykrycia straszego „Kuby“ skorzystać nie można. Tyle pewnego, o czym zresztą przekonano się na pierwszej zaraz ofierze, że ten rzeźnik ludzki posiada znajomość anatomii i nielada wprawę we władaniu nożem sekcyjnym. Przekonanie jednak o fachowej biegłości zbrodniarza nie wypada na korzyść ani społeczeństwa wogóle, ani lekarzy angielskich w szczególności, ani ofiar nieszczęśliwych, ani niefortunnej policji. Mordy londyńskie były i pozostaną dowodem bezsilności najcywilizowanego społeczeństwa w obronie swoich członków. W tym smutnym fakcie leży między innymi i to niebezpieczeństwo, że te bez obrony pozostawione cząstki, mogłyby się poczuć zwolnionymi od obowiązków względem całości, która ze swej strony poręczonych względem nich obowiązków nie dotrzymuje. A co by było wtenczas?..

Już to, z przeproszeniem pani Cywilizacji, zdaje mi się, że jej atmosfera wogóle staje się za duszną dla żyjących w niej społeczeństw, i że chcąc je ratować, trzebaby dla nich koniecznie wymyślić „letnie kolonie“ na łonie „dzikiej przyrody“. W tem zateczęłem, zgniełem powietrzu cierpią nawet tak zahartowane na wszelkie fizyczne i moralne wyzwiewy plemiona, jak plemię izraelskie. Drumont nie pierwszy to spostrzegł, że powszechna zresztą naszego kiepskiego wieku choroba, nowroza, z szczególnem upodobaniem znęca się nad żydami, a codziennym niemal zdarzające się wypadki stwierdzają to spostrzeżenie.

Obecnie naprzykład, w sferach finansowych (czytaj: żydowskich) Paryża ogromną sensację wywołała śmierć pani Villeron, córki bar. Goldschmidta, a synowicy głośnego, mianowicie ze swoich interesów kolejowych i dobrodziejstw (!) dla Galicyi bar. Hirscha, ogromnie bogatej z siebie i żony bardzo bogatego męża, z którym w najlepszej żyła harmonii.

A jednak, wpośród tych wszystkich uśmiechów i błogosławieństw fortuny, pani Villeron jednego pięknego dnia wyjechała z Paryża do willi swojej w Beauregard, ztamtąd udała się niby na wycieczkę do Bougival, i tam — z mostu rzuciła się w rzekę.

Atak newroz... zбочenie umysłowe... Zapewne! ale czy nie wartoby zajrzeć w przyczyny tego zбочenia?... Czy nie pokazałoby się, że na dusze czystsze jeszcze nieco z pośród masy zbrukanych, w chwilach refleksji, w chwilach zwrotu w przeszłość, spada całe brzemie grzechów całego szeregu poprzednich pokoleń i druzgocze je swoim ciężarem?... Ja nie wiem, i dochodzić tego nie będę; — poruszanie a nie zgłębianie kwestyj do samego dna jest obowiązkiem kronikarza.

A *propos* Hirscha zanotować muszę, że dzienniki wiedeńskie puściły wieść, jakoby ten znany „filantrop“ ofiarował nowe 12 milionów dla Galicji, na szkoły rolnicze i przemysłowe, oraz na „nagrody dla majstrów chrześcijańskich, którzy będą przyjmowali żydów do terminu“. Szczęśliwa ta Galicja! — wprawdzie złe wiedeńskie języki utrzymują że to nowa blaga, podobna do wszystkich poprzednich obietnic, z których dotąd ani jedna w życie nie weszła, ale co to wszystko znaczy! P. Hirsch ma wyborną zasłonę w tej wygodnej zasadzie: „*In magnis et voluisse sat est*“ — „W wielkich rzeczach chęć ob staje za uczynek“, — a Galicja ciesząca się może czem chce: albo nadzieją spełnienia się obietnic Hirszwowskich, albo pewnością, że się one w niwecz obróca. Jeżeli ta w trzech czwartych już obiecana ziemia nie chce widzieć na ruinach swego Lwowa dzwigającej się Nowej Jerozolimy, to niechby się tej drugiej uczepiła alternatywy.

We Francji dzieją się naprawdę rzeczy, o których się filozofom naszym nie śniło. Proces Numy Gillyego, grożący ogromnym skandalem, zakończony został niespodzianie uwolnieniem oskarżonego. Gilly, sam deputowany, d. 30 Września obwiniał publicznie całą niemal komisję budżetową o frymarki, sprzedajność, łapownictwo i t. d. i t. d. „Na 36 członków komisji budżetowej — rzekł — macie przeszło 20 Wilsonów“. Za to wytoczył mu proces tylko jeden członek komisji, p. Andrieux. Oskarżony podał cały szereg świadków, po większej części członków komisji, oraz szereg pytań jakie tym świadkom mają być zadane. Pytania te, już same przez się, były niezmiernie dla świadków kompromitujące. Proces toczył się przed trybunałem w Nimes, gdzie sam Gilly jest prefektem. Prokurator oświadczył, że ponieważ toczy się jedynie sprawa pana Andrieux przeciw panu Gilly, więc oskarżony nie ma prawa żądać przesłuchania świadków co do okoliczności nie będących w bezpośrednim związku z tą sprawą. Sąd, po długich naradach, zgodził się z poglądem prokuratora, a gdy Gilly oświadczył, iż oskarżając ogólnie komisję budżetową, nie miał na myśli p. Andrieux, ten cofnął skargę i Gilly został od wszelkiej odpowiedzialności uwolniony. I na tem koniec!

Tak więc kilkudziesięciu deputowanych francuzkich schowało do kieszeni krwawy zarzut w twarz im rzucony; komisja budżetowa milcząc przyznała się do zbrodni o której ją oskarżono.

Jakaż to Izbę deputowanych ma ta nieszczęśliwa Francja! W jakichże to rękach losy jej spoczywają!

W dniu 2 Grudnia ma się odbyć wielka manifestacja przy grobie d-ra Baudina, który poległ na barykadzie w r. 1851. Inicytywę do manifestacji dali radykałiści, a i rząd ma wziąć w niej udział.

Otóż rozeszła się wieść, iż rząd korzystając z podniecenia umysłów manifestacją, zamierza dokonać zamachu stanu: uwięzić ludzi nieprzychylnych mu i niebezpiecznych, zawiesić wolność prasy i ogłosić po miastach stan obłężenia. Ze strony rządowej przeczą temu, ale Boulanger i Cassagnac twierdzą, iż mają na to niezbite dowody.

Inna wieść, głoszona przez stronników rządu, utrzymuje, że to Boulanger myśli o zamachu stanu, a podejrzenie na rząd rozpuszczał umyślnie dla zamydlenia oczu ogółowi.

Gdzie prawda i czy jest ona po którejkolwiek stronie, orzec trudno; to pewna, że radykalny przewrót musi we Francji nastąpić lada chwilę, a kto wie czy z niego nie wypłyną na wierzch bulanżyści i bonapartyści, którzy wobec ogólnego rozbicia stronnictw, sami jedni trzymając się razem, zbitą tworzą falangę.

Chwilę stanowczą może przyspieszyć zamiar rozwiązania ligi patryotycznej, z którym rząd ma się nosić w tej chwili.

Mowa tronowa, którą cesarz Wilhelm d. 22 b. m. zajął sesję parlamentu niemieckiego, zajmuje się przeważnie sprawami wewnętrznymi, a w krótkim ustępie odnoszącym

się do stosunków zewnętrznych, nosi na sobie charakter bezwzględnie pokojowy; tem większą też sensację wywołał dziennik ministerjalny „Post“, który w mowie tej upatrzył „powody do poważnych obaw“. Każdy mimowolnie zapytuje się: czy to jest uczciwe ostrzeżenie przed oddawaniem się złudzeniom optymistycznym? — czy też w maszynie rządowej niemieckiej coś się popsulo, tak, że każde kółko zaczyna się obracać na swoją rękę?...
E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Ratunku dla Ojcowa! Pod tym nadpisem otrzymujemy z Ojcowa nadzwyczaj przykre wiadomości. Oto co pisze korespondent, patrzący na to co się dzieje własnymi oczyma:

„Ojców, ten najpiękniejszy zakątek naszej ziemi, ta istna, jak go zresztą nazywają, „Szwajcarya polska“, zamienia się w ostatnich czasach — a właściwie w ostatnich miesiącach — z niesłychaną szybkością w nagą, bezdrzewną pustkę! Zaiste, nie można mówić o tem bez gorzkiego żalu — do tych, co zamiast ochraniać wszelkimi sposobami miejscowości takie — niszczą je niemiłosiernie, z jakąś zawziętą bezwzględnością.

Przy ostatniej sprzedaży cieszyła się prasa, cieszyliśmy się wszyscy, że Ojców nie dostał się w ręce Niemców i w ogóle w ręce spekulantów; niestety! — żadna spekulacja nie uwinęłaby się tak szybko z wyniszczeniem tej przelicznej do niedawna jeszcze i jedynej w swoim rodzaju miejscowości. Nawet żydzi, gdyby o jakąś ich miejscowość w tym rodzaju... chodzilo, postaraliby się ją, bodaj wspólnymi, złączonymi siłami, utrzymać w całości i porządku.

„Tymczasem, oto co robią nie Niemcy i nie żydzi, lecz *swoi*!...

„Smutne to, nawet więcej niż smutne!

„Wprawdzie lasy Ojcowskie padają pod siekierami żydowskimi, ale dzieje się to z wyraźnej woli obecnych właścicieli.

Kilkadziesiąt morgów lasu, zasadzonych przez p. Szturma, b. administratora dóbr Ojcowskich, za poprzednich właścicieli: Szturbów i Adlerów, a ciągnących się nad samą doliną Ojcowa, sprzedane zostały żydom za 1,000 rubli. Lasy wsi Smardzewice, dziś już rozparcelowane, rąbiają na gwałt, a ów lasek „Bukówki“, liczący zaledwie osiemnaście lat istnienia i położony także nad doliną Ojcowską, ma być również — przez dzisiejszego właściciela, żyda, lada chwila wycięty. Wreszcie żydzi z Działoszyc wycinają obecnie 300, wyraźnie *trzysta* morgów lasów Ojcowskich (Czajowskich), sprzedanych im za marne 50,000 rubli!

„O dwie wiorsty od Ojcowa, na wyniosłej górze, pokrytej dziewiczym lasem, leży tak zwane Grodzisko (miejsce gdzie żyła i zmarła Św. Salomea) — należące, wraz ze znajdującym się tamże kościołkiem, do parafii Skala, a utrzymywane wyłącznym już kosztem i staraniem zacnego miejscowego proboszcza. Otóż, przed dwoma lub trzema miesiącami, widok z tej góry był jeszcze zasłonięty — lasami; dziś Ojców odsłonięty już cały, lasy znikły pod siekierą żydowską, a Grodzisko wygląda jak oaza w pustyni, urągając obywatelskiej gospodarce dzisiejszych posiadaczy. I doprawdy, gdy się na to patrzy, to z piersi wyrwa się mimowoli coś, niby okrzyk, niby prośba błagalna: **r a t u n k u d l a O j c o w a !**

„Bo czyż nie znajdzie się już nikt, żaden polak-kapitalista, któryby nietylko w ogólnym, ale i we własnym interesie, — miejscowość tę, jedną z najzdrowszych i najpiękniejszych, miejscowości, która gdyby istniała w Niemczech, byłaby już oddawna zamienioną na jeden z pierwszorzędných zakładów leczniczych, — czyż nie znajdzie się, powtarzam, przedsiębiorca-polak, któryby Ojców chciał uratować od ostatecznej zagłady?“

Tyle — korespondent, i tyle podajemy na teraz. Wkrótce pomówimy jeszcze o tej smutnej i przykłej nad wyraz sprawie, — nie wątpiąc, że i inne pisma podnieść ją zechcą.

Pan Wiślicki o pielgrzymkach do Częstochowy. Niektóre z pism podały niedawno, iż według statystycznych danych, od dnia 13 Maja do 13 Października r. b. do Cudownego Obrazu Najśw. Maryi Panny w Częstochowie, przybyło około 327,600 pielgrzymów. Owóż „Przegląd Tygodniowy“, chwytając, ze zwykłą w takich razach skwapliwością, tę cyfrę, zdaje się być wielce zgorzonym jej wysokością. A chociaż w ogóle „wędrowni“ tego rodzaju „Przeł. Tyg.“ uważa jedynie — ze swojego stanowiska naturalistycznego — za „hygienę organizmu, potęgującą funkcje organiczne“ (1), to jednak owe liczne pielgrzymki na Jasną Górę martwią i gniewają go srodze. „Jeżeli — powiada pan Wiślicki — przyjmujemy średni czas przebywania w drodze na dni piętnaście, a średnią

wartość niezarobionej dziennie sumy na 15-cie kop. ; — to wypadnie nam“ etc.

Mój Boże! — że też to tenże sam „Przegląd Tygodniowy“, albo któryś inny z organów liberalno-żydowskich, nie weźmie się do rachunku bardziej zajmującego i nie obliczy, ile też dni „niezarobionych“ marnują ich żydkowie — i to ci tylko chociażby, których statystyka urzędowa podaje „jako nie mających żadnego określonego zajęcia“, — których cyfra wynosi pono około 600,000, a którzy znowu, nie przez dni „piętnaście“, lecz przez wszystkie dni w życiu nie zgola nie robią. Nieprawdaż, że rachunek taki byłby bez porównania ciekawszym? Ale oii go — ci panowie żydowsko-liberalni — nie zrobią, nie odważą się na to, bo i cóż powiedziałyby wtedy... „asymilacya“? Dla nich jest tylko solą w oku nasze „próżniactwo“, z powodu naszych pielgrzymek do Częstochowy; — chociaż możemy ich znowu, po raz nie wiem już który, kategorycznie zapewnić, że liczne i częste pielgrzymki ich pupilków do różnych „cadyków-cudotwórców“, pomimo że się odbywają za nasze, za goimów“ pieniądze, nie nas nie obchodzą.

Aj, jacyż ci panowie warszawscy „postępowcy“ bezstronni — a sumienni jacy!...

W sprawie służebnościowej. Według doniesienia dzienników, ministerium spraw wewnętrznych zajmuje się obecnie pytaniem, czy nie byłoby na czasie zniesienie serwitutów, w drodze polubownego porozumienia się właścicieli ziemskich z włościanami. Gdyby zaś rozstrzygnięcie w ten sposób kwestyi okazało się nateraz niemożliwym, — w takim razie ministerium ma zamiar wyjaśnić należycie przyczyny, które stanowią główne przeszkody do załatwienia sprawy służebnościowej.

Uroczystość rodzinna. W tych dniach odbył się w Warszawie rzadki — a w tych zwłaszcza czasach zbyt prędkiego życia, coraz rzadszy, — obchód złotego wesela p. p. Wacława i Eweliny z hr. Łubieńskich — Popielów. Czećgodny jubilat, długoletni i zasłużony dobrze w warszawskim Towarzystwie Dobroczynności prezes, należy do najczynnijszych u nas pracowników na polu filantropii, więc też uroczystość wspomniana zainteresowała tem żywiej całą Warszawę. Ceremonii wręczenia sędziwym jubilatowi złotych lasek, po Mszy Ś-tej, odprawionej w wielkiej sali pałacu arcybiskupiego, dopełnił J. E. Arcypasterz warszawski, przy serdecznej przemowie. Zjazd na złote gody osób należących do rodzin spokrewnionych z Popielami, był liczny. Po dopełnionym obrzędzie, podano śniadanie u J. E. ks. Arcybiskupa, wieczorem zaś państwo Popielowie przyjmowali u siebie licznych nader gości. W ciągu dnia, złożył wizytę dostojnym Jubilatowi J. W. Główny Naczelnik kraju z małżonką.

Smutny wielce wypadek zdarzył się w tych dniach w Warszawie, przy pożarze jaki wynikł w jednym z domów przy Placu Ś-go Aleksandra. Skutkiem eksplozyi materiałów palnych, złożonych w piwnicy tegoż domu, brandmajster III-go Oddziału straży p. Smoroński i siedmiu strażaków w zostało straszliwie poranionych, potłuczonych i poparzonych, tak, że nieszczęśliwym grozi poważne niebezpieczeństwo utraty zdrowia na zawsze. Dzienniki donoszą, iż z powodu tego wypadku podjęta została myśl zabezpieczenia losu strażaków oraz ich rodzin, na wypadek śmierci lub ciężkiego kalectwa poniesionego na służbie, — kosztem miasta. Myśl to godna ze wszech miar poparcia, a do jej urzeczywistnienia mieszkańcy Warszawy najchętniej i jednomyślnie przyczynić się powinni. Toż dzielni ci ludzie czuwają nad mieniem i życiem naszym, z narażeniem ciągłom życia własnego; należy im się przeto najsluszniej z naszej strony — nietylko „sympatya“, ale i skuteczna pomoc w uieszczeniu.

Nowości wydawnicze. Wyszła z druku godna polecenia książka, p. t. „Konferencye o rzeczach ostatecznych“ — Kardynała F. R. Bellarmina, w przekładzie X. ***.

P. Feliks Ehrenfeucht wydał, wyróżnioną na konkursie „Kuryera Warszawskiego“, powieść społeczną p. t. „Na placówkach życia“.

Ogłoszonym zostało „Sprawozdanie z czynności, od dnia 1-go Lipca 1887 r. do dnia 1-go Lipca 1888 r.“ — Stacyi oceny nasion, istniejącej przy warszawskim Muzeum przemysłu i rolnictwa, a prowadzonej wzorcowo przez znanego specjalistę D-ra A. Sempołowskiego.

Z teatru i muzyki. Na poranku artystycznym, urządzonym w ubiegłą Niedzielę, na rzecz Kasy pożyczkowej artystów teatrów warszawskich, odegrano z wielkim powodzeniem komedję J. Bliźnińskiego p. t. „Ciotka na wydaniu“. Utwór ten najznakomitszego dziś komedyjopisarza polskiego pozostanie na długo ozdobą repertuaru teatru Rozmaitości.

W teatrze Małym przedstawiono pierwszą próbę sceniczną młodego autora, p. Józefa Łozińskiego, p. t. „Jestem literatem“ (krotochwila w 3-eh aktach). Krytyka przyznaje autorowi dość wybitne zdolności.

Pan Jan Gall wystąpił w Warszawie z koncertem, złożonym wyłącznie z utworów koncertanta.

Dziś t. j. w Sobotę b. artysta sceny krakowskiej, p. Artur Zawadzki, daje w sali Towarzystwa wioślarskiego przedstawienie złożone z szeregu monologów charakterystycznych.

Zmarli: S. p. Fr. Przędpełski, długoletni prezydent m. Kalisza, dbały wielce o rozwój miasta, — zm. tamże.

S. p. Walery Rzewuski, właściciel znanego zakładu fotograficznego, radca miejski krakowski, człowiek prawy i obywatel zasłużony na polu działalności publicznej — zm. w Krakowie.

S. p. Benjamin Herder, największy wydawca niemiecki dzieł wyłącznie katolickich — zm. w Freiburgu.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

29 Listopada 1888 r.

Z zagranicznych rynków zbożowych nie nadeszły i tym razem żadne wiadomości ważniejsze lub oznajmiające o jakichkolwiek zmianach.

Tak na rynkach amerykańskich, jak i bliżej nas obchodzących, mianowicie: w Gdańsku i Toruniu, ceny pozostają na jednym i tym samym poziomie.

Na targach warszawskich usposobienie, przy nader ograniczonych dowozach, również niezmiennione.

Na placu Witkowskiego płacono pszenicę wyborową 6.70—6.90, średnią 6.40—6.50, ordynaryjną 5.80—6.10. Żyto wyborowe 4.20—4.30, średnie 4.05—4.10. Owies średni sprzedawano po 2.20—2.50, stosownie do gatunku.

Na stacyi Praga płacono pszenicę wyborową 109—113, średnią 104—107, ordynaryjną 98—100 kop. za pud. Żyto wyborowe 72—75, średnie 67—69, ordynaryjnego nie notowano. Owies wyborowy 75—77, średni 67—75, ordynaryjny 63—66. Jęczmień wyborowy sprzedawano po 80—85, średni po 76—78 kop. za pud.

W handlu okowitą, tak w Hamburgu jakoteż i na rynku warszawskim, ceny pozostały niezmiennione. To samo powiedzieć można o handlu bydłem na targu prazkim i o artykułach na rynkach żywnościowych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. J. Galicz p. Święciany w Kluszczezanach Do „Przeglądu Katolickiego“ dołączyliśmy już prospekt; co zaś do „Biesiady Literackiej“ — to administracya tego pisma odpowiedziała nam, iż jakoby „żadnych prospektów nie przyjmuje“. I musi tak być istotnie, gdyż „Biesiady“ o jakichś względy kupieckie posądzałybyśmy nie chcieli, — zwłaszcza że jej prospekty i anonse przyjmowaliśmy zawsze, ilekroć były nam przysłane. Za zyczliwość dziękujemy serdecznie; rs. 2 zapisujemy na dalszą prenumeratę.

Sz. ks. Wł. W... w Sk... — Życzeniu „Warszawianina“ staje się zadość w numerze dzisiejszym; wiadomości, jakie nam Sz. Ksiądz Dobrodziej w liście swym komunikuje, zużytkujemy na innym miejscu.

Sz. ks. Szpądrowski p. Włoszczowę w Kluszczezanach. — Rs. 2 przesyłaliśmy dawno „Biesiadzie Literackiej“, na co mamy pokwitowanie w odpowiedniej książce. Obecnie zaś zakomunikowaliśmy jej reklamacyę Sz. Księdza Dobrodzieja.

Pani Aniela M... w Mikoszu pod Koninem. — Uwagi najzupełniej słuszne, ale w żadnym razie nie mogą one stosować się do nas. Prosimy uprzejmie o nadesłanie nam rękopisu powieści. Z jednej z nadsyłanych nam prac nie lekceważymy i nie mamy zwyczaju pozbywać się ich bez czytania; a każdy utwór prawdziwego talentu, o ile naturalnie treści jego nie jest w sprzeczności z zasadniczym kierunkiem pisma, pomieszczymy najchętniej. Kwestyi honoraryów nie bierzemy w takich razach w rachunek.

P. Bzura p. Grajewo w Rydzewie. — Rs. 1 kop. 50 przesyłaliśmy, bezzwłocznie po otrzymaniu przesyłki, „Biesiadzie Literackiej“, na co mamy dowód w jej pokwitowaniu. Obecnie zakomunikowaliśmy jej w oryginale, na co również posiadamy dowód, list sz. pana; gdyby jednak i to jeszcze nie odniosło skutku, w takim razie raczy sz. pan zwrócić się z reklamacyą już wprost do administracyi wspomnianego pisma.

„Bezstronnemu“. — Czynieć zadość, nietylko „ciekawości“ pańskiej ile raczej tej właśnie „zasadzie bezstronności“, na jaką się pan w liście swym powołuje, sprawdziliśmy rzecz bliżej i przekonaliśmy się, iż wiadomość podana przez „niektóre z pism“ o wypadku jakiemu uległ „jeden z robotników jednej z fabryk tutejszych“, a mianowicie wiadomość dotycząca przyczyny wypadku jest nie prawdziwą. Robotnik ów, jak dawniej tak i teraz, nie potrzebował przy czynności swojej żadnej pomocy ani dozoru, a młot przy którym pracował był w zupełnym porządku. Przytem objaśnić nam pana wypadka, że robotnicy tej fabryki ubezpieczeni są od nieszczęśliwych wypadków w Towarzystwie „Rosyja“ na sumę 333,000 rubli. Gdyby więc robotnik, o którym mowa, nie mógł dalej pracować, otrzymałby od Towarzystwa tysiąc razy wziętą swoją płacę dzienną, to jest 1,150 rubli; ponieważ jednak będzie on mógł zajmować się jeszcze robotami lżejszemi, przeto otrzyma od Towarzystwa — pewną część tej sumy. I jeszcze słowko: „zasada bezstronności“ i, dodamy od siebie, bezparcyalności, zaleca przedewszystkiem zbadać fakt należycie, zanim się na kogoś rzuci kamieniem.

Sprostowanie. W numerze poprzednim, w art. p. t. „Francyja zżydziała“ zaszła pomyłka, a mianowicie: ustęp przedostatni, zaczynający się od słów: „Błędem katolików jest to“, i t. d. powinien być ostatnim; prostując tedy omyłkę, ustęp ów powtarzamy w numerze dzisiejszym.

REKLAMY.

Dentysta **Marceli Grzeszkiewicz**, Nowy Świat Nr. 55, przyjmuje od 10 do 6-ej, — specjalnie sztuczne zęby. 6—2

Głuchota i szum w głowie. Jak uwolnić się od tych cierpień? Po objaśnienia zwracać się do **J. K. Nicholsona** 4 rue Drouot. Paryż. (Francya). (9—6)

STUDENT

wydziału fizyko-matematycznego poszukuje lekcji lub korepetycji przedmiotów gimnazjalnych. Oferty proszę składać w Red. „Roli” — dla „Studenta”.

OGŁOSZENIA.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-48
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży
I. Jodłowskiego

Bialańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nowożytnych — oraz przyjmuje wszelkie obatalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Keldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie”. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Zimowa kuracja Kefirem

w zakładzie przy ulicy Królewskiej Nr. 31 (nowy, wejście z frontu), od godziny 7-ej rano do godziny 10-ej wieczorem, latem zaś w ogrodzie Saskim, w własnym pawilonie, byłym D-ra Przystańskiego.

Zakład zaszczycony wyższymi nagrodami na Kaukazie, w Charkowie, Warszawie i na Wystawie HIGIENICZNO-LEKARSKIEJ i PRZYRODNICZO-DYDAKTYCZNEJ, urządzonej w czynie V. Zjazdu Lekarzy i Przyrodników Polskich we Lwowie.

P. S. Dla Zakładów Dobroczynnych i niezamożnych chorych kefir za pół ceny.

Właścicielka Zakładu Kefiru leczniczego

Klaudja Sigalina z Kaukazu.

(6—3)

Królewska 31.

Krawiec

(52—37)

M. CHMURCZYNSKI

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy.

na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obatalunki w zakres krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnówki jesienne i zimowe palta, sakpalta, surduty, tużurki, żakiety marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszewki, nicuje, reperuje zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowywa, jak najakuratniej po cenach bardzo niskich.

SKŁAD ORMIAŃSKI

Nowy-Swiat 69.

Naturalne Czyste i Kuracyjne Wino

DOSTAĆ MOŻNA u

SARKISIANCA

gdzie sprzedaje się po cenach od 25 kop. za butelkę do rs. 1 k. 50.

Kupującym za rs. 5 odstępuje się 10% rabatu.

A. SARKISIANC. (25—17)

UWAŻAJCIE!

Medal srebrny 1885.

FABRYKA

WYROBÓW METALOWYCH I ODLEWÓW

T. Gwizdzińskiego i S-ki

przeniesioną została na ulicę Koszykową Nr. 27, do domu własnego, trzeci dom od Marszałkowskiej. Kantor i Skład Nowy-Swiat Nr. 2 jak dawniej. Fabryka mieści się w pobudowanych na ten cel odpowiednich budynkach i poruszana jest maszyną siły sześciokonnej. O czem niniejszem zawiadamiamy naszych Szanownych Klientów.

(6—2)

T. Gwizdziński i S-ka.



24-3

SKŁAD WIN

J. LIJEWSKIEGO i S-ki

Krakowskie-Przedmieście Nr. 6.

(wprost kościoła Ś-go Krzyża),

Mianowanego przez Prześwietny Konsystorz generalny Warszawski Przysięgłym Dostawcą Win Kościelnych, poleca bogaty wybór Win Węgierskich dobrze odstających i z rozmaitych lat, jak również wszelkie inne gatunki Win zagranicznych. — Wskutek obecnie korzystnego kursu waluty naszej, znaczna obniżka cen — Sprzedaż na beczki, baryłki i garnce. — Ekspedycya do wszystkich stacyj kolei żelaznej.

Łóżka żelazne, zwyczajne i ozdobne,

Umywalki

(5—5)

poleca:

EDWARD DUSOGE

Nowy-Swiat Nr. 5 (wprost Straży Ogniowej).

Ważne dla P. P. Myśliwych!



Gilzy metalowe Lancastra mogą wytrzymałość, przewyższając wszystkie dotychczasowe, wytrzymujące z górą 60 strzałów; wchodzi i wychodzą po strzale z lufy swobodnie, sprzedają bez różnicy kalibru, z przesyłką pocztą w obrębie Królestwa 8 rs. sztukę, 25 sztuk 2 rs. pistony Berdaa do tychże 60 kop. 250 sztuk.

Broń, rewolwery, Gilzy papierowe w ogóle Amunicję, wyrabiając samą sprzedają po cenie fabrycznej, sumienną reperację, przeróbki po cenie najniższej.

Pojedyńki odcyłkowe dla młodzieży do strzelania srebrem 18 rs. z przyborem.

Handlującym rabat.

Cenniki na żądanie franco. (52-24)

Parowa Fabryka Broni Rewolwerów i Amunicji

JULIANA STAPF, w Warszawie,

Magazyn z dniem 1-go Października r. b. przeniesiony został na ul. Hr. Kotzebue Nr. 10 (wprost Telegrafu). Kantor zaś, pozostaje przy Fabryce i Strzelnicy, Nowy Świat Nr. 43.

„Z KULĄ U NOGI“

Opowieść (3-2)

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

opuszcza prasę w oddzielnej obitce i jest do sprzedania w cenie kop. 60 za egzemplarz we wszystkich księgarniach oraz w Redakcyi Echa Muzycznego Senatorska 26.



(9-9)

Czapki Karakułowe i Skórki na kołnierze, Czapki Bobrowe, Piżmowcowe i t. p. Wielki wybór i b. tanio sprzedaje **Magazyn**

ANTONIEGO TUCZYN

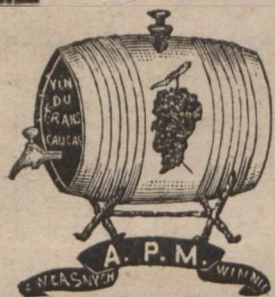
w Warszawie ulica Podwał N. 16
Filja w Radomiu Rwańska 38.

**MAGAZYN MEBLI
K. Dziegielewskiego**

Ś-to-Krzyżka Nr. 5.

Poleca wielki wybór mebli stylowych i fantazyjnych, oraz najświeższe dekoracje. (26-26)

Bez sztuki kiperskiej.



**Naturalne i Czyste
WINA**

Z własnych Zakaukaskich winnic.

Wskutek obfitych winobiorów, znacznie w cenach niższe i od 25 do 150 kop za 1/2 Butelkę, również Szampańskie w najlepszych gatunkach, dostać można w Zakaukaskim składzie—które poleca

A. P. MNACAKANOFF

Główny Skład: Bielańska Nr. 5.
Filja: Długa 47, róg Bielańskiej.

Detaliczna sprzedaż u p. p.

A. Bartold Owocarnia. Nowy Świat 41.
H. A. Gajewskiego, Marszałkowska 94.

NB. Hurtowa sprzedaż w Głównym Składzie. Biorącym większe partie znaczny rabat.

Cenniki i próbki na żądanie franco.

Przewyższające marki zagraniczne.

Lepsze od Krymskich i Bessarabskich

6-2

**POLSKA
FABRYKA PIERNIKOW
Adama Popławskiego**

Egzystująca od r. 1879 przy ulicy Elektoralnej Nr. 23 wprost głównego wejścia szpitala Ś-go Ducha.

Poleca swoje wyroby uznanej dobroci. PP. Kupującym za rubla dodaje się za 15 kop. tegoż towaru. PP. Handlującym i Kupcom odstępuje się rabat.

Na nadchodzące święta polecam strucle gospodarskie, maslane, z makiem i masą migdałową. Dla znawców i amatorów jest wypiekany całorocznie chleb wiejski doskonały, bochenek po k. 6, 12 i 24. (3-2)

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885. **ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU**
DYPLOM UZNANIA. **MAGAZYN MEBLI**
ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowania pokoiów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracje, podług najwięzszych żurnali (13-9)

Magazyn Ubiorów Męzkich
Karola Miniewskiego
Senatorska 29
I-sze piętro
obok kościoła Ś-go Antoniego—vis-à-vis A. Feiſta.



OTRZYMAŁ
na obecnym sezonie
Wielki Wybór
MATERIAŁÓW
(20-11)

z których wykonywa obstalunki po cenach bardzo przy-
stępnych. — Na prowincję wysyła próby i sposób brania
miary samemu sobie.

FABRYKA i MAGAZYN
**WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
KONNEJ JAZDY I POŁOWANIA**

T. L. BREYMEYER, — Warszawa
Królewska Nr. 1. róg Krakows.-Przedm.

Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaże
Płaszcz gumowe — Buty filcowe
Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane
Torby myśliwskie — Futerały na broń
Portmonetki — Pugilaresy — Portcigary — Woreczki i t. p. 52-15
Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

Zatrzaski do drzwi różnej konstrukcyi,
Kłódki, Łańcuchy do drzwi (5-5)

poleca:

EDWARD DUSOGE

Nowy Świat Nr. 5 (wprost Straży Ogniowej).

KOLDRY
(3-2)

GOTOWE

Atlasowe, adamaszkowe ty-
betowe, tyfickowe, satyno-
we i bajowe.

Wata z własnej fabryki o-
raz przyjmują się koldry do
szycia.

Od Reumatyzmu

Kaftany, Kalesony, Poń-
czochoy kutnerowe.

Flanela zdrowia.
Barchany białe i kolo-
rowe.

Puch Edredonowy na fun-
ty i arkusze.

POLECA

Skład Towarów Jókciowych
i Waty

R. KOECHER.
Podwał Nr. 7.

A. KIERST I S-ka

5. Bielańska 5.

(vis-a-vis Danilowiczowskiej)

SPECYALNA FABRYKA I MAGAZYN

BIELIZNY MĘZKIEJ

CENY NIZKIE!!!

Najlepszy krój Koszul Męzkich.

26-16

FABRYKA PIERNIKÓW

(3-3)

„ZŁOTY UL”

Warszawa, Nowy-Świat 7.

Wskutek licznych zapotrzebowań i mogących nastąpić przerw w komunikacji, upraszamy o jaknajrychlejsze zamówienia, chcemy bowiem zadowolnić naszych odbiorców pod każdym względem.
SPECYALNOŚĆ!!! Polecamy duży wybór nowości do ozdoby choinek. — Cenniki na żądanie franco.

FABRYKA

WYROBOW SREBRNYCH I PLATEROWANYCH

JÓZEFA FRAGET

W WARSZAWIE

przy ulicy Elektoralnej Nr. 753 (16)

od 64 lat egzystująca,

poleca swoje wyroby platerowane, jakoteż i srebrne.

Magazyny znajdują się: w WARSZAWIE przy ulicy Senatorskiej pod Nr. 4 i 7 (17) — przy ulicy Krakowskie Przedmieście Nr. 442 (69) i przy ulicy Marszałkowskiej w magazynie nr. S. LUBELSKIEGO i S ki — oraz w St. Petersburgu na Newskim Prospekie, w domu Ormiańskiej Cerkwi — w Moskwie, na Kuźnieckim moście w domu W. nej Terleckiej — w Charkowie, na ul. Uniwersyteckiej w domu W. go Paszczenki — w Odessie, na ul. Deribassowskiej dom W. go Sepieca — w Tyflisie, na ul. Dworcowej, dom W. nej Jarolowej — w Rydze, na ul. Wapiennej w domu Towarzystwa „Ul” — w Kijowie, na Kreszczatce w Magazynie W. go Marcińczyka — w Żytomierzu u W. go Rossi — w Lublinie, w magazynie W. go A. Marcińczyka — w Kaliszu, u W. go M. Landau — w Konstantynopolu, na Grande rue de Pera, przy placu Tunelu. (12-5)

W czasie jarmarków: w Niższym Nowogrodzie, Samarze, Połtawie, Kijowie, Elizabetgradzie, Irbicie i t. d.

Świeżo otrzymane wyborowe gatunki **HEBBATY** poleca dom handlowy

B. KLIMUSZYN

(3-3)

W MOSKWIE

CENNIK:

Czarna.	rs. 1 kop. 40	Czarna.	rs. 2 kop. 40	Zatłista	3 „ 50
„	1 „ 60	„	2 „ 70	Liarsin.	4, 5, 6 i 7 rs.
„	1 „ 80	„	3 „ —	Żółta.	6 i 8 rs.
„	2 „ —	Kwiatowa	2 „ 50	Zielona	4 i 6 rs.
„	2 „ 20	„	3 „ —		

w pudełkach metalowych po rs. 2.20, 2.40, 2.50, 2.75, 3 rs. i drożej.

Skład w Warszawie przy ulicy Niecałej Nr. 4

Herbatę naszą nabywać można również u pp. kupców w Warszawie i na prowincyi. Kupującym w większej ilości ustępuje się znaczny rabat. Wysyłka herbaty pocztą na koszt składu, kolejami za Nachnahme.

UWAŻAJCIE!

136 MARSZAŁKOWSKA 136, RÓG Ś-to KRZYZKIEJ.

NATURALNE, CZYSTE, KURACYJNE WINO KACHETYŃSKIE

dostać można w Składzie pod firmą:

„KAUKAZ”

gdzie sprzedaje się po cenach od 30 kop. do 2 rubli za butelkę i na lampki po 5 i 10 kop.

Kupującym za 5 rubli odstępuje się rabat

(3-1)

UWAŻAJCIE!

Polski Kantor Bankierski
RADZISZEWSKI i S-ka (52-48)
 WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Jedyna specjalna Fabryka Ozdób Kościelnych
Karola Szonert (52-32)
 w Warszawie, — Leszno Nr. 62.

Treść numeru: Przesady „trzeźwych“... — Z pod szlacheckiej strzechy. — Francya zżydziała (d. c.) — Opowiadanie przez autorkę „Opowiadania“ (d. c.) — Mozaika literacko-artystyczna. — Na posterunku, feljeton Kamiennego. — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Odpowiedzi redakcyi. — Sprawozdanie handlowe. — Ogłoszenia. — W odcinku: Kaprys hrabianki przez Wincentego hr. Łosia (d. c.).

Redaktor i Wydawca **Jan Jeleński**. Дозволено Цензурою. — Варшава 10 Мая 1888 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)